

# 268 Król i kram

George Bernard Shaw: „Wielki kram”. Ekstrawagancja polityczna w 2 aktach. Przekład: Florian Sobieniowski, opracowanie sceniczne i reżyseria: Andrzej Munk, dekoracje i kostiumy: Mieczysław Nalewajski. Premiera na scenie kameralnej Teatru Polskiego.

Jestem wielbicielem sztuk Shawa. Tym gorzej. To bowiem, co nam pokazano w Teatrze Polskim pod pretekstem wznowienia „Wielkiego kramu”, mało ma wspólnego z saloniem dyskusyjnym Shawa. Jeszcze mniej z atmosferą intelektualną jego komedii. To nie „wielki kram” polityki, jak zamierzył Shaw i jaką jest jego sztuka — to raczej stoisko na bazarze. I w dodatku po wyprzedzący.

„Wielki kram” nie należy do najświetniejszych sztuk Shawa. Satyryczna wena coraz rzadziej nawiedzała krzepkiego ale bądź co bądź sędziwego pisarza. Na „Świętej Joannie” (1923) kończy się wielki okres twórczości Shawa, co następuje — to zmierzch. Zrazu powolny, później — z przyspieszeniem. „Jestem starcem i piszę bzdury” powiedział wówczas o sobie autor „Z powrotem do Matuszalema”. W 1929 roku nie uważał się jeszcze Shaw za starca — i słusznie, miał dopiero 75 lat — ale zabrakło mu już temperamentu wieku dojrzałego, chwilami nie umiał położyć kresu gadulstwu, a surowość krytyki społecznej zastępował żrzeniem i anegdotami. „Wielki kram” jest ciętą satyrą polityczną, jest sztuką o świetnym pomysle i niektórych znakomicie napisanych partiach dialogu... ale to zarazem przejmujący obraz walki Shawa ze starością, obok dowcipów świeżych powtarzają się odgrzewane kawały, z satyrą ostrą, nawet gwałtowną, sąsiaduje puśta i czeza gadanina, zarysy akcji zalewają pomysły niewyżyskane, koncepty żenujące, sytuacje machnięte. Kpiarz wypuścił z rąk busołą i zaczął sterować na ślepo. Gestykulując namiętnie, ugodził z rozmachem w fikcję demokracji parlamentarnej w państwach burżuazyjnych, celne wymierzył szyderstwa w prawicowych bonzów robotniczych związków zawodowych i w sedno trafił, ukazując, że państwem nie rządził ani ubieżwłasnowolny monarcha ani chytry premier ze swoim gabinetem — lecz oni, anonimowi kapitaliści, „Lewiatan i Spółka”, utrzymujący ministrów na swym łożdzie. Przeciw tej władzy buntuje się jeden ucz-

ciwszy minister-kobieta — ale buntuje bezsilnie i szybko kapituluje przed rzeczywistością. Buntuje się i król, kandydat na „silnego człowieka”, pokazany w sztuce jako jedyny czynnik ponadpartyjny, którego ostrożną działalnością kierują względy na interes ogólny. Natomiast siły społecznych, zdolnych do wydarcia państwa z rąk plutokratów, Shaw nie wskazuje, wystarcza mu uogólniający sceptycyzm i schlebliwie ciągotom ku „silnej władzy”. Toteż negacja jałowuje, tylko w przedmowie do sztuki Shaw odesłał widza do wzorów moskiewskich. W samym „Wielkim kramie” ta przegródka jest pusta. Shaw wykręca się sianem, sztuka polityczna zamienia się w pstry żart.

W aktualnej sytuacji politycznej 1929 roku było jeszcze inaczej, posłużono się satyrą Shawa jako uderzeniem w demokrację burżuazyjną od strony totalitarnych zakusów. Stąd powodzenie „Wielkiego kramu” w sferach sanacyjnych w Polsce i faszystujących już na całym Niemczech. Tu stare aluzje i stare komeraże wyblakły, zbyt doszczętnie skompromitowały się u nas ciągoty do rządów „silnej ręki” Piłsudskiego, Ślaważy czy Rydza. Nikt też lepiej od starszych widzów w polskim teatrze nie zna nicości i brudu podszewek parlamentarnego „demoliberalizmu”. Ale osad nieprzyjemny pozostał.

W 1929 roku światową prapremierę „Wielkiego kramu” w Warszawie uświetnił pan prezydent i co łeżsi dygnitarze, „rząd silnej ręki” obecny był na widowni jak Francja w Algierii. Rece same składały się do okłasków. Junosza-Stepowski i Przybyłko-Potocka święcili triumf, jak niebawem Werner Krauß i Maria Bard w Berlinie. „Chybiona prapremiera” zauważała po latach Bronisława Bałutowa w książce „Drama Bernarda Shaw” (Łódź, 1957): „Warszawa widziała zbyt dużo doskonałych dramatów Shawa, żeby dać się uwieść blaskowi światowej prapremiery. „Wielki kram” jedna ze słabszych sztuk shawowskiego wielkiego repertuaru, została słusznie skrytykowana

w prasie, przy podkreśleniu zresztą jej wszystkich zalet. Niepewna wymowa ideologiczna nie przyczyniła się oczywiście do lepszego zrozumienia i oceny sztuki”.

W Teatrze Polskim w poniedziałek roli królewskiej metresy Oryntii żadna z gwiazd nie mogła zabłysnąć, ponieważ jedynym śmiałym pociągnięciem pióra cały akt z Oryntią skreślono o a do zet. Dokonano też innych drastycznych cięć. Cóż więc zostało? Pozostał dwuaktowy spór króla z premierem w asyście ministrów oraz wizyta ambasadora USA, proponującego Anglii powrót na łono matczynej czyli ostatecznie wchłonięcie postarzałego kapitału angielskiego przez młodszą, bardziej zadzierzwyty i zaborczy kapitał amerykański.

Shaw niełtościwie drwił z gabinetu skłóconych ministrów, których pokazuje jako gromadę łobuzów i durków. Teatr Polski poszedł o krok, o miłe (polski) dalej, zrobił z tych ministrów angielskiego imperium kilkę małomiasteczkową, powiazaną brudnymi interesami na szczeblu powiatowym. Przewodził całej sitwie premier Proteusz (MACIEJ MACIEJEWSKI), działacz prosto z miasta wojewódzkiego. Dobrane do takich figur ambasador zaprzyjaźnionego mocarstwa zachowuje się jak nieprzyzmiarzając szwagier Plekutoszczak na przyjęciu u Walerego Wątróbki.

Sztuki Shawa coraz częściej trzeba grać z dystansem. I z uśmiechem nie tylko shawowskim ale i z starego Shawa. Ale dystans to nie obniżanie poziomu ani żółtliwe uwypuklanie tego co w starszym majstrze jest naiwne, pomarszczone, zgrzybiałe. Inteligentnego dowcipu Shawa nie godzi się pogrzebiać gierkami z gorszych fars. I zewowanie w stronę groteski nie zawsze, nie wszędzie jest na miejscu.

Z ogólnego tła wychyla się — na szczeście — JAN KRECZMAR w roli króla Magnusa. Górujący inteligencja, wytworny, pełen sarkazmu i ironii — jest jedyną postacią ze Shawa w tym przedstawieniu — nieporozumieniu. Elegancko sekunduje mu w epizodzie ZOFIA BARWIŃSKA jako królowa Lucyna. Dwie ministrowe — ZOFIA MALYNICZ i ALEKSANDRA LESZCZYŃSKA — też starają się być bardziej okrzeseane od nieoclepanych mężczyzn. Do kompletu dorzuce JANA KOBUSZKIEWICZ i LECHA KOMARŃCZAK, nienagannie opianowanych sekretarzy królewskich.

Z zachowaniem się i manierami ministrów skłócona jest wyborna dekoracja — fronton pałacu królewskiego i park angielski, wymalowane dowcipnie i z tym cieniłym humorem, który winien był cechować cały spektakl.